



TOMASZ BIEDRZYCKI

**RIGIL PRIME
W
OGNIU**

TOM II

TOMASZ BIEDRZYCKI

RIGIL PRIME
W OGNIU
TOM II

RIGIL PRIME W OGNIU TOM II

Tomasz Biedrzycki

Copyright © by Tomasz Biedrzycki, Jelenia Góra 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez zgody autora.

All rights reserved

Okładka

ESO/L Calcada

Korekta

Agnieszka Koprowska

Jacek Jackowski

Wydanie I

Jelenia Góra 2015

ISBN 978-83-64514-20-3

www.tomaszbiedrzycki.pl

ROZDZIAŁ I AS W RĘKAWIE

1 Czerwca 2118 roku, powierzchnia Rigil Prime, trzysta kilometrów na północ od równika

Zimne, lodowe wzgórza oświetlał odległy blask gwiazd. Wyjątkowo niska temperatura sprawiała, że rzadkie powietrze stało się krystalicznie przejrzyste. Wokół panowała cisza. Jak gdyby natura, przytłoczona mrozem zamilkła. Sterylny obraz wymarłej planety zakłóciło kilka osypujących się grud lodu. Wydawało się, że bez powodu stoczyły się z niewielkiej śnieżnej czapy, która utworzyła się na zboczu jednego z większych, lodowych wzgórz. Drzenie nie powtórzyło się. Dopiero z bliska, potencjalnego obserwatora mogły zaskoczyć nadspodziewanie regularne kształty śnieżnej górk. Jej wnętrze zajmował niewielki namiot obserwacyjny. Rozbrzmiewały w nim monotonnie powtarzane, ciche przekleństwa. Na niewiele ponad dwóch metrach kwadratowych powierzchni spały dwie osoby odziane w lekkie kombinezony termiczne. Trzeci – niski i krępy mężczyzna, raz po raz przeklinał pod nosem swoją nieostrożność, gdy dotknął ściany ramieniem. Dokonując aktu słownego samobiczowania się, nie spuszczał oka z przenośnego zestawu rozpoznania taktycznego. Za pomocą kilkudziesięciu małych dron, kontrolował teren w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Na całe szczęście, nie dostrzegł nic podejrzanego. Na chwilę oderwał oczy od ekranu i sięgnął po żelazną rację żywności. Przełamał ją na pół, by uruchomić chemiczny podgrzewacz. Przymknął oczy, by choć przez chwilę wymazać z umysłu obraz ciasnego schronienia, w którym tkwili od miesiąca.

-, Co to takiego? - Rozległ się cichy kobiecy szept, przywracający mężczyznę do rzeczywistości. Spojrzał na ekran, sygnalizujący ruch przy dwudziestej ósmej sondzie. Natychmiast zapomniał o jedzeniu.

- Budź Williama – burknął, przesyłając sygnał uruchomienia systemów pokładowych drona. Z napięciem czekał na odzew urządzenia.

- Ej, spałem zaledwie dwie godziny – usłyszał protest mężczyzny, chrapiącego dotąd spokojnie na podłodze. Kobieta niewiele robiła sobie z jego protestów. Wręczyła gorący pojemnik z rozgrzewająco - pobudzającą papką.

- Mamy trzy pojazdy – głos operatora siedzącego przy komputerze zdradzał poruszenie. Gdy zgłaszali się na ochotnika do jednego z ośmiu takich posterunków, nie sądzili, że znajdą na powierzchni cokolwiek. Miał to być raczej urlop wypoczynkowy od uciążliwej służby na orbicie. William na dźwięk słów kolegi otrzeźwiał natychmiast. Trzy pojazdy to było coś. Zajrzał mu przez ramię. Kamera drona automatycznie śledziła niewielki konwój. Opancerzone pojazdy były ledwie widoczne na tle lodowej pustyni. Gdyby ekran obserwował człowiek, z pewnością by je przeoczył.

-, Co najmniej jeden czołg, dwa transportery... - Wyliczał operator, ale William mu przerwał.

- Odległość Rick, interesuje mnie odległość?! - Kobieta nie czekając na odpowiedź, wsunęła się do wąskiego tunelu z nanotkaniny. Owiął ją chłód, bowiem ta część nie była ogrzewana. Dotarła do otwartego kokpitu zmechanizowanego pancerza bojowego, całkowicie ukrytego pod śniegiem. Uruchomiła źródło zasilania i procedury startowe. Trwało to zaledwie dwie minuty, ale nim wróciła do namiotu, przemarzła na kość. Nawet kombinezon niewiele pomógł.

- ...Niecałe trzydzieści kilometrów – zdążyła usłyszeć odpowiedź Ricka. Tuż przy wyjściu z tunelu, William kończył w pośpiechu posiłek. Kątem oka dostrzegł ostrzyżoną na jeża głowę towarzyszki.

- Odpaliłam swoje małeństwo... - Mruknęła, z ulgą witając powiew ciepłego powietrza.

- Porucznik Gvert ma chęć na osobiste zdobycze – rzekł Rick z przekąsem, odsuwając się od aparatury. Z rozbawieniem na twarzy obserwował gęsią skórę na przedramieniu dziewczyny.

- Nie lubisz chłodu koleżanko? - Prześmiewczy ton mężczyzny obudził w niej kobiecego demona.

- Sierżant Warrick, nie koleżanko – odcięła się, patrząc wyczekująco na dowódcę. Ten nie zwlekał z odpowiedzią.

- Idziemy całym zespołem. Do momentu nawiązania kontaktu, obowiązuje całkowita cisza radiowa. Możemy ich spłoszyć – w krótkich, żołnierskich słowach wyjaśniał plan, jaki układał się, w ogolonej na tyso, głowie porucznika.

- Rick, ustawisz system łączności z posterunku na automatyczny raport za czterdzieści minut. Do tego czasu powinniśmy ich dopaść – ostatnie słowa zabrzmiały drapieżnie, niczym warczenie rozwścieczonego bulteriera.

- Może ich być więcej – zauważył Rick, zdalnie uruchamiając aktywację swojego M.A.V.E, tworzącego wraz z siatką maskującą sąsiedni, śnieżny pagórek.

- Więcej Chinoli, więcej zabawy – dowódca pokazał w uśmiechu śnieżnobiałe zęby. Natychmiast przeszli nad tym do porządku dziennego. Żadne z nich nie przekroczyło trzydziestki, byli spragnieni walki. Wizja nagłego ataku, zniszczenia patrolu wroga, być może schwytania kilku jeńców w niewolę, przemawiała do wyobraźni.

Na rozkaz, ruszyli jak dobrze naoliwiony mechanizm. Gvert i Warrick wsunęli się przez wąskie tunele do pancerzy wspomaganych. Rick zabezpieczył wejścia i wyłączył wszystkie urządzenia. Westchnął cicho w zapadłych nagle ciemnościach. "Więcej Chinoli, więcej zabawy..." słowa porucznika wciąż brzmiały mu w uszach, nabierając ponurej wymowy. Dobrze wiedział, o jaką zabawę chodzi. Mimo nawyków wyniesionych ze szkoły podoficerskiej, wciąż nie potrafił myśleć o przeciwniku, jak

o celu. Jego umysł podpowiadał, że tam, za warstwami kompozytowego pancerza, krył się człowiek....

- Gvert do sierżanta Demso, zasnąłeś tam? Marzniemy na kość! Może ruszysz łaskawie swoje cztery litery... - Sarkastyczny ton oficera nie pozostawał złudzeń, co do jego humoru.

- Natychmiast! - Odpowiedział mechanicznie Rick, wkładając lekki, hermetyczny hełm. Wgramolił się do niewielkiej śluzy i jednym ruchem otworzył zewnętrzny właz. Mimo doskonałej izolacji termicznej ubrania, fala zimna wymiotła z płuc całe ciepłe powietrze. Termometr na osłonie wskazał ponad dziewięćdziesiąt stopni mrozu. Nie zwlekał ani chwili, wiedząc, czym może skończyć się dłuższy spacer w takiej temperaturze. Osłonił wyjście fragmentem siatki maskującej i zbiegł na dół, wpadając z rozpędu pod, sztywną od zimna, płachtę osłaniającą jego pojazd. Trzasnęła w kilku miejscach pod naporem ciała mężczyzny. Nie zwracał na to uwagi. Zwinnie wdrapał się po oblodzonych stopniach biegnących wzdłuż mechanicznej, zrobotyzowanej nogi. Odpowiednio uformowane klamry nie pozwoliły mu spaść. Chwilę czekał na uniesienie się osłony kokpitu. Ten zabieg rozdarł płachtę na pół. Nim zdążył się dobrze usadowić w fotelu, towarzysze usunęli resztki tkaniny, uwalniając "Hellhonda" całkowicie. Potężny zapas energii w szybkim tempie oczyścił oblodzone szyby kokpitu. W rzadkiej atmosferze, głucho zabrzmiały uruchamiane turbiny napędowe pojazdu. Ryknęły głośno, pracując przez moment na pełnej mocy. Ciepły kokpit rozleniwiał sierżanta. Od niechcienia włączył trójwymiarowy interfejs sterujący. Natychmiast zabłysł na nim rozkaz podporządkowania wysłany z maszyny Gverta. Okiem fachowca ocenił trasę wyznaczoną przez porucznika na ekranie nawigacyjnym. Bez przekonania pchnął dźwignię mocy. Maszyna ociężale ruszyła do przodu, jak monstrum obudzone z leśnego snu. Przez osłonę kokpitu dostrzegł Warrwick, przemykającą tuż przed nim. Z satysfakcją obserwował, jak przechodzi wąskimi przejściami, nieustannie skanując przestrzeń przed sobą. Jego M.A.V.E, ważący dziesięć

razy tyle, bez trudu utorowałby przejście obojgu. Nie potrafił odgadnąć intencji porucznika, każącego mu wędrować z tyłu. Czy chciał dać dodatkowy wycisk pani sierżant? Może to była zemsta za odrzucone zaloty Gverta? Rick na wspomnienie poprzedniego wieczora, uśmiechnął się krzywo. Yma Warrwick kojarzyła mu się ze wszystkim, tylko nie z seksem. Wysportowana, kanciasta i umięśniona sylwetka kobiety zawsze budziła w nim jedynie zawodową zazdrość. Nie miał tyle zaparcia, by tak dobrze wyrzeźbić swoje ciało. I potrzeby, bowiem służba w oddziałach M.A.V.E nigdy nie była tak ciężka, jak w jednostkach pancerny wspomaganych. Pomyślał przez moment o nagiej sierżant i wzdrygnął się. Cichy sygnał dźwiękowy oderwał go od nieuczesanych pomysłów. System zgłaszał mu pakietową przesyłkę danych z orbity. W miarę jej dekodowania, Rick otwierał oczy coraz szerzej.

- "Świta pana admirała..."- Pomyślał z pogardą, czytając rozkaz.

"Do zespołu obserwacyjnego G-8. Skierować osiem dron obserwacyjnych w sektor C-8. Orbitalna obserwacja wykazała ruch w tamtym rejonie. Meldować o wynikach obserwacji zgodnie z procedurą". Tak jak przewidywał, podpisał się pod tym jakiś bubek z admirałskiego zespołu taktycznego. "Ot, smarkaty komandor się nudził i postanowił, że znajdzie ludziom na dole zajęcie. Żeby broń boże nie pomyśleli czasem, że są na urlopie " - Rick Demso nie przepadał za oficerami floty od czasu szkoły. To wtedy stoczył z nimi zwycięską bitwę na pięści w pubie. Dla nich skończyło się naganą, dla kolegi Ricka – wilczym biletem. Demso wywinął się tylko dzięki najwyższym wynikom w całym oddziale bojowym.

- Taa już natychmiast przebieram nogami, panie oficerku... - Mruknął pod nosem, zastanawiając się, czy jest sens informować Gverta o rozkazie. Poczucie obowiązku zwyciężyło. Przyspieszył, by znaleźć się w zasięgu łączności bezpośredniej. Przekazał informację łączem qbitowym porucznikowi. Uśmiechnął się pod nosem, na myśl, że zmusi go do reakcji. Ku jego zdumieniu, na

łączu panowała cisza. Przywołał na ekran historię łączności zewnętrznej, przez krótką chwilę sądząc, że nie przesłał pakietu. Wszystko się jednak zgadzało. Gvert otrzymał informację i po prostu nie zareagował na nią. Sierżant wzruszył ramionami. "Ostatecznie, ja tu tylko wykonuję rozkazy..." Te słowa, wypowiedziane głośno w kokpicie, jakoś go nie uspokoiły. Zaczął rozważać konsekwencje ich postępków. Niby działali zgodnie z ogólnym poleceniem, pozwalającym w szczególnych przypadkach zaatakować przeciwnika. Owo "szczególnie" niepokoiło Demso. Działania podjęte przez porucznika nie bardzo wyglądały na taką sytuację... .

Zmiana trasy, wyświetlająca się na trójwymiarowej mapie nawigacyjnej sprawiła, że natychmiast zapomniał o swoich wątpliwościach. Przebyli znaczną część trasy. Porucznik, jak wytrawny traper, zamierzał oflankować swoją zdobycz. W nakreślonym planie Demso miał odegrać rolę myśliwego. Pancerze wspomagane rozeszły się na boki. Nawet nie dostrzegł, gdy maszyna Warrwick zniknęła gdzieś pomiędzy lodowymi iglicami. Machinalnie uruchomił systemy bojowe. Przed oczyma zabłyśł półprzezroczysty obraz, wyświetlany przez soczewkę kontaktową. Pojawiło się oznakowanie celu – póki co, szary romb, ustawiony karnie pod ikoną celownika. Trójwymiarowe ekrany poniżej przygaśły, by nie rozpraszać pilota. Demso powoli zmniejszył prędkość, od czasu do czasu spoglądając na holograficzne odwzorowanie taktyczne. Trzy amerykańskie maszyny tworzyły trójkąt o boku dziesięciu kilometrów. Docierali już do miejsca, w którym dron zarejestrował chińską kolumnę. Sierżant nawiązał łączność z robotem, przejmując nad nim kontrolę. Wysłał go na wyższy pułap, odważniej, ryzykując wykrycie. Dron leciał wzdłuż śladów. Dłuższy czas nic się nie działo. Przygryzł wargi. Czyżby zuchwały rajd miał się zakończyć na niczym?... Ogarniające go zwątpienie rozwił obraz jednego z opancerzonych wozów. Stał za lodowym cyplem. Nie miał szansy zobaczyć go wcześniej. Kamera robota obróciła się automatycznie, za oznaczonym przez Demso celem. Serce podskoczyło

sierżantowi z radości. Dostrzegł resztę konwoju. I jeszcze coś. Kilka migających punktów, oznaczających wystrzały. Chwilę później stracił kontakt z dronem. Wiedział, co to oznacza. Zebrane dane natychmiast przesłał do pozostałych. Cel był odległy o niespełna piętnaście kilometrów, niemal dokładnie pomiędzy Gvertem a Warrwick. Zespół nie zwiększał prędkości, szedł ku przeciwnikowi, zgodnie z przyjętym wcześniej planem. "Hellhound" coraz bardziej zostawał z tyłu. Po przejściu połowy odległości, Demso otrzymał bezpośrednie polecenie na ekran, by się zatrzymać. Wchodził właśnie na płaską, pozbawioną lodowych pagórków przestrzeń. Wyglądała niemal jak zamrożone jezioro. Gvert mimo tego, że widział okolicę tylko za pośrednictwem trójwymiarowego interfejsu, perfekcyjnie wybrał miejsce na zasadzkę. Lodowe pole miało co najmniej trzy kilometry długości, co umożliwiło "Hellhoundowi" optymalne użycie uzbrojenia. Sierżant, obserwując na ekranie odchodzących towarzyszy, pokręcił głową z uznaniem. Porucznik drażnił go swoją nadmierną pewnością siebie. Musiał jednak przyznać, że czasami była ona uzasadniona. Oderwał wzrok od mapy. Cofnął się pomiędzy najbliższe lodowe załomy. Kamuflaż sprawił, że M.A.V.E stał się niemal niewidoczny, zlewając się z otoczeniem. Przednie żaluzje silników bezgłośnie zamknęły się. Pancierz pojazdu pokrył się szronem, gdy system bojowy włączył chłodzenie zewnętrznych powierzchni. Rick odetchnął głęboko. Nie brał dotąd udziału w bitwie. Ominęło go pierwsze lądowanie na Rigil Prime, a bitwę z chińskim toroidem na orbicie, przesiedział w ambulatorium lotniskowca ze złamanym nadgarstkiem. Czuł, że teraz nadchodzi jego czas, jego chwila. Ręce precyzyjnie operujące na zintegrowanych dźwigniach sterujących lekko zwilgotniały. Wiedział, jak potworną mocą dysponuje prowadzony przez niego pojazd. Zamierzał go dziś wykorzystać w stu procentach...

*

W mroźnym powietrzu rozległo się dudnienie czołgowego silnika. Dowódca chińskiego konwoju nie zamierzał ryzykować.

Dopalający się nieopodal wrak drona świadczył wyraźnie o tym, że zostali zauważeni. Do tej pory zespół miał ogromne szczęście. Uciekli spod atomowego ciosu amerykańskiej floty orbitalnej, z powodzeniem unikali powietrznych patroli. Aż do dziś... . Pierwszy czołg, pracowicie mieląc gąsienicami, ruszył z miejsca. Ukryte za opancerzoną osłoną anteny radarów i midarów podjęły pracę, bombardując przestrzeń dookoła tysiącami impulsów. Chwilę później, podążył za nim niski, płaski transporter opancerzony. Kilkanaście złożonych na dachu anten wskazywało wyraźnie, że nie przewozi zwykłego oddziału bojowego. Ostatni w linii, pojazd amunicyjny artylerii dalekonośnej dopełniał obrazu. Gromada rozbitków, żyjąca tylko dzięki swoim maszynom.

Na wprost przed konwojem pojawiła się pojedyncza sylwetka odziana w zmechanizowany pancerz osobisty. Stała pomiędzy lodowymi iglicami, jakieś trzysta metrów przed konwojem. Amerykanin, jak gdyby zaskoczony widokiem przeciwnika, cofnął się tyłem, kryjąc się za wąskim lodowym wzgórzem. Zrobił to w ostatniej chwili, bowiem jadący przodem czołg wycelował działo w jego kierunku. Głucho, płasko w zimnym powietrzu rigilskiej nocy zabrzmiał wystrzał, masakrujący wąską iglicę. Gvert nie czekał na drugi. Na pełnej prędkości przebiegł pomiędzy niskim zwałami śniegu. Nawet automatyczna armata, wypluwająca pocisk co trzy sekundy, nie zdołała trafić zmechanizowanego wojownika. Jedyne spóźnione odłamki nieszkodliwie zabębniły na pancerzu Amerykanina.

*

- O mały włos – sapnął porucznik, rzucając maszynę w lodową dolinę. Wymierzone w niego pociski eksplodowały na jej brzegu. Rzucił okiem na trójwymiarową mapę. Chińczycy nadal toczyli się do przodu, nie zmieniając szyku. Wydawało się, że nie mieli zamiaru ruszać w pościg za przynętą. Z zaciśniętymi ustami, obserwował ruchy przeciwnika. Nie było wyjścia, musiał wdrożyć drugą część planu. Szybko nakreślił stanowisko bojowe dla Warrwick, po czym zawrócił, ostrożnie wychylając się ponad

krawędź lodowego klifu. Komputer natychmiast zaktualizował informacje taktyczne. Czołg stanął z boku, osłaniając pozostałe pojazdy przed ewentualnym ostrzałem Gverta. Porucznik kilka razy nacisnął spust. Plazmowe pociski uderzyły w pancerz, żłobiąc w nim głębokie wyrwy, ale nie zdołały go przebić. Chińczyk zareagował natychmiast, obracając się w stronę przeciwnika z prędkością, która zaskoczyła Gverta. Tylko szczęściu zawdzięczał ocalenie. Pocisk z działa przeszedł tuż nad głową, z metalicznym zgrzytem żłobiąc wgłębienie w górnej płycie pancernej egzozszkieletu. Szarpnięcie powaliło go na ziemię. Zapalnik zbliżeniowy zareagował błyskawicznie, ale fragmentujące odłamki pocięły przód pancerza, nie przebijając go.

- Warwick, do dzieła – warknął porucznik w mikrofon, nie zwracając uwagi na zagrożenie możliwością przechwycenia transmisji. Sierżant potwierdziła odbiór rozkazu poprzez mignięcie ikoną na trójwymiarowym ekranie.

Od dziesięciu minut czaiła się po drugiej stronie konwoju, nie będąc wykrytą. Teraz precyzyjnie wymierzyła w pierwszy transporter. Ku jej zdumieniu, jej ostrzał nie zniszczył pojazdu. Musiał mieć dodatkowy pancerz. Chińczycy zaskoczeni ogniem z drugiej strony, zaczęli się cofać. Czołg natychmiast obrócił wieżę, wyszukując nowego zagrożenia. Po obu stronach stanowiska Warwick uniosły się w górę słupy eksplozji. Z pewnością nie zdołali jej tak szybko wykryć. Dowódca czołgu zamierzał ją wypłoszyć, albo choć zmusić do milczenia. Ogień szrapnelami nie był specjalnie groźny dla pancerza, ale gdyby trafił gdzieś obok, mógłby uszkodzić powłokę, a na to sierżant nie zamierzała pozwolić. Cofnęła się kilka kroków w tył lodowego pola. Z bezpiecznej odległości obserwowała zawracający konwój. Trzeba było przyznać, że chiński dowódca znał się na rzeczy. Pojazdy zsynchronizowane niczym drony, zawróciły w jednej chwili. Samotny czołg szedł teraz w ariergardzie, cofając się tyłem. Nie próbował polować na kąsające ich z obu stron zmechanizowane pancerze. Automatyczne działo patrzyło na wprost, gotowe w

każdej chwili do zasypania wroga gradem pocisków. Kilka minut, które upłynęły od pierwszej strzelaniny, z pewnością pozwoliły Chińczykowi na uzupełnienie magazynów amunicyjnych. Warrwick i Gvert, raz po raz strzelali z dalszej odległości, nie mogąc przebić solidnej, przedniej płyty chińskiego czołgu. Ten nie odpowiedział ani razu. Gvert szedł jak lew za antylopą, czasem wręcz dworując sobie z przeciwnika, przeskakując otwarte przestrzenie. Czuł uderzenia adrenaliny. Zdawał sobie sprawę, że trafienie z odległości niespełna półtora kilometra zakończyłoby się dla niego śmiercią. Mimo ewidentnego wystawiania się na strzał, czołg nie otwierał ognia. Gvert wykonał kolejny skok, kryjąc się za płaskim, szerokim wzgórzem, gdy nocnym powietrzem targnął huk strzału. Na pancerz posypały się grudy lodu. Gvert uśmiechnął się złośliwie i skontrolował ekran taktyczny. Weszli w zasięg sygnału Demso. Porucznik czuł, jakby odzyskał oczy. Mapa została natychmiast uzupełniona o szczegóły, widoczne tylko z obserwacyjnego drona, którym operował pilot "Hellhonda". Zasepił się, widząc zmianę kierunku ucieczki przeciwnika. Mogli zahaczyć o pole lodowe, za którym czaił się Demso, ale wyraźnie skręcali na zachód.

"No cóż, nikt nie twierdził, że zółci są tępi" – mruknął do siebie Gvert. Zmarszczył brwi, intensywnie myśląc. Czuł, że musi błyskawicznie podjąć decyzję, żeby zwycięstwo nie wymknęło mu się z rąk. Gdy planował atak, lekceważąco oceniał zdolności przeciwnika. Teraz wydawało mu się, że załoga w czołgu musiała składać się z weteranów, doskonale znających się na swoim fachu. To co wydawało się łatwym zadaniem, przeobraziło się w trudny pościg. Porucznik doskonale zdawał sobie sprawę, że może się on różnie skończyć. Szybko nakreślił nowy plan ataku. Chwilę jeszcze patrzył na opalizującą mapę. Nie wyglądała już tak prosto i przejrzysto, ale nadal dawała szansę na sukces.

- Demso, naprzód! Natychmiast! - Gvert zaryzykował ponownie, uruchamiając łączność. Aby się udało, Rick musiał wypełnić swą rolę bezbłędnie. Porucznik chciał powtórzyć rozkaz, ale nie było

takiej potrzeby. Ikona oznaczająca "Hellhouna" na mapie taktycznej ruszyła z miejsca... .

*

M.A.V.E mknął do przodu na pełnej mocy turbin, starając się przebyć odkryty obszar jak najszybciej. Drobiny lodu sypały się spod szerokich łap pojazdu. Mimo solidnych, tytanowych ostróg, "Hellhound" chybotął się na boki. Systemy motoryczne pracowały na pełnych obrotach, by utrzymać balans i nie dopuścić do wywrotki.

Demso co chwila sprawdzał uzbrojenie, monotonnie przeklinając dowódcę. Raz po raz. Poprzednia euforia wyparowała zeń bez śladu. Wydawało się, że Gvert chce go rzucić na pożarcie konwoju, każąc mu biec przez otwarte pole. "Zmiana planów" - pomyślał ze złością i pogardliwie wydał wargi.

- "To jest prawdziwa wojna panie oficerku, nie zabawa..." – Warknął pod nosem. Chciał dodać coś jeszcze, by poprawić sobie humor, ale głos uwiązł mu w gardle. Dostrzegł niski, kanciasty kształt transportera amunicyjnego, wysuwającego się zza ostrego, lodowego klifu. Toczył się szybko ku następnej osłonie. Pojawił się tak nagle, że Demso zawahał się na moment. Chińczycy, równie zaskoczeni jak on, zapalili w jego stronę reflektor kierunkowy, chcąc go oślepić. Rick odruchowo szarpnął za spust. Salwa rotacyjnego dział kinetycznego przeszła transporter na wylot. Pociski rozszarpały zbiornik paliwa. Ten zapłonął słabym płomieniem. Czarne kłęby dymu zasłoniły wrak pojazdu. Demso uśmiechnął się drapieżnie, uruchamiając symultaniczny spust, umożliwiający odpalenie całości uzbrojenia. System bojowy oznaczył dwa pojazdy za klifem, korzystając z mikrofonów kierunkowych.

"Nie było tak źle" pomyślał i zatrzymał pojazd. W tej samej chwili, w wyrwie, tuż obok wraku transportera pojawił się czołg. Błyskawicznie wycelował i nim Rick zdążył zareagować, Chińczyk strzelił. Już pierwszy pocisk trafił w nogę "Hellhouna".

Odłamkowy pocisk nie zniszczył zmechanizowanego kolana, ale obrócił M.A.V.E bokiem. Szarpnięcie cisnęło pilota o przezroczystą osłonę. Demso nerwowo obrócił kokpit, otwierając bezładny ogień, gdy w pojazd trafił kolejny chiński strzał. Tym razem przeciwpancerny pocisk w sabocie odstrzelił nogę "Hellhonda". Ten powoli przewrócił się na bok, nadal strzelając. Cały strach, panika, odpłynęły z umysłu Demso. Pozostał tylko kanciasty cel przed sobą. Działo rotacyjne zostało zniszczone, ale laser wciąż miał zasilanie. Rick nie przestawał zasypywać przeciwnika impulsami. Oczekiwał śmiertelnego ciosu. Poczul silne szarpnięcie, gdy kolejny pocisk z czołgowego działa oderwał cały dół M.A.V.E. Światła w kokpicie zgasty, a automatyczny system ratunkowy zainicjował uruchomienie katapulty. Nim Rick zorientował się, co się dzieje, osłona kokpitu została odstrzelona. Do środka wtargnął lodowaty mróz, wymiatając z płuc pilota całe powietrze. Aż jęknął z bólu. Zaryczały silniki rakietowe fotela, wyrzucając go pod sporym kątem w górę. Sekundę później, we wrak "Hellhonda" uderzył pocisk, niszcząc go całkowicie. Wysoko, pojawił się ciemny spadochron. Wiszący na nim Demso, z trudem uniósł w górę dłoń, zakładając awaryjną maskę tlenową. Klatka piersiowa paliła go żywym ogniem. Mróz już sięgał po niego swymi szponami, przenikając skafander pilota. Zdawał sobie sprawę, że przegrana w jego wypadku, oznaczała śmierć. Poczucie w tym wszystkim było jedynie to, że uśnie... .

Dostrzegł jeszcze błyski w dole, gdy w wąskiej kotlinie pomiędzy klifem, a linią pagórków rozbrzmiała gwałtowna walka. Czołg nie miał pola manewru w wąskim przejściu. Zdołał obrócić wieżę i wystrzelić dwa razy, ale żaden z pocisków nie trafił. Gvert i Warrwick nie dali mu najmniejszych szans. Plazmowe pociski przeszły bez problemu żaluzje silników na tylnym panczeru. Przez przebicia zaczął wypływać gęsty, czarny dym. Cicha eksplozja wstrząsnęła ciężkim kadłubem chińskiego pojazdu. Wieża znieruchomiła. W tej samej chwili górny właz pojazdu poleciał w górę, wypchnięty kolumną ognia. Wybuch amunicji nie rozerwał czołgu, ale pozostawił po nim jedynie wypaloną

skorupę... . Nikt z załogi nie ocalał. Ciemny cień przesunął się nad rozbitym wrakiem. Zmechanizowany skafander zatrzymał się przy ostatnim ocalałym pojeździe konwoju. Gvert tkwiący w środku, walczył przez moment z sobą, chcąc zakończyć starcie ostatnią salwą. W porę opanował się, zdejmując palce ze spustów.

- Warrwick, sprawdź co się dzieje z Demso. Melduj natychmiast! - Sierżant mruknęła coś w odpowiedzi, przeskakując nad dymiącymi resztkami czołgu. Porucznik nie spuszczał wzroku z samotnego, nieruchomego transportera. Zmatowiała biel na pancerzu wytarła się gdzieniegdzie. Zewnętrzny stan pojazdu, otarcia, pęknięte traki gąsienic, wskazywały wyraźnie, że od dawna nie był w warsztacie.

Dowódca amerykańskiego zespołu oblizał wargi. Właśnie zdał sobie sprawę, że samodzielnie weźmie do niewoli kilku chińskich oficerów. Może nie będzie to sztab dowodzący wielką bazą orbitalną, ale zawsze to było coś. Włączył zewnętrzne nagłośnienie i zaczął spokojnym, chłodnym głosem, choć pobrzmiewały w nim nuty triumfu.

- Mówi porucznik William Gvert z sił zbrojnych Federacji Ameryki Północnej. Wyłączcie silnik i wyjdźcie na zewnątrz z podniesionymi rękoma. Złóżcie posiadaną broń przed pojazdem. Jeśli nie wykonacie rozkazów, otworzymy ogień! - Zamilkł, sycąc się chwilą. Doskonały nastrój zepsuł mu meldunek podwładnej.

- Demso ranny. Wsadziłam go do awaryjnego namiotu ratunkowego. Uruchomiłam boję alarmową – słysząc ostatnią część meldunku, Gvert złośliwie zaklął. "Oto, czym kończy się pobyt w towarzystwie cholernych żółtodziobów" - mruknął pod nosem. Zamierzał triumfalnie złożyć meldunek o rozbiciu konwoju. Boja demaskowała ich całkowicie. W dodatku jej odpalenie, było dla porucznika jak krzyk dziecka do swojej rodzicielki. Oto placówka Gverta prosi o pomoc wymuskanych oficerów floty na orbicie!. Wykrzywił pogardliwie usta, ale nie zdążył soczyście podsumować meldunku Warrwick. Pancerne drzwi chińskiego transportera rozsunęły się. Dobrze ubrani w

ekwipunek polarny Chińczycy, kolejno opuszczali pojazd. Trzymaną wysoko nad głowami broń rzucali przed siebie, stając w szeregu. Gvert natychmiast zapalił reflektor postojowy, tak by żaden z jeńców nie czmychnął w mroźną noc, choć byłaby to dla takiego śmiałka pewna śmierć.

Wydawali się być zrezygnowani. Spoglądali wprost w paszcze wycelowanych w siebie dział plazmowych, nie podejmując żadnej akcji.

-, Warrwick, przestań na chwilę niańczyć Demso i podejdź tu, muszę zameldować co nieco, do tych bubków na górze... - Zaczął Gvert. Przerwał, gdy na kanale pojawił się szum, a zaraz potem dał się słyszeć dobroduszny, basowy głos mężczyzny.

- Zespół SAR z "Eisenhowera" w odpowiedzi na wezwanie. Będziemy za dwadzieścia dwie minuty...

ROZDZIAŁ II ODKRYCIE KART

Atmosfera w sali konferencyjnej "Eisenhowera" była odprężająca. Kapitanowie prowadzili między sobą ciche dyskusje, czekając na przybycie głównodowodzącego. Kilku adiutantów i pierwszych oficerów korzystało z nielicznych chwil rozluźnienia, raz po raz żartując między sobą. Jedna ze ścian wyświetlała obraz z prawej burty lotniskowca. Widoczny był na niej, odległy o niespełna tysiąc kilometrów, toroid typu "Mao", najnowsza zdobycz drugiej floty prowadzonej przez admirała Harrivana. Pośpiesznie przemianowany na "Georga Washingtona", obsadzony załogą szkieletową, stał się dumą całego zespołu. Nikt dotąd nie mógł poszczycić się podobnym wyczynem. Zdobycie ogromnej stacji bojowej było precedensem na skalę dotąd niespotykaną. Niektórych euforia nie opuściła do tej pory. Jedynie komandor Sereda, która przejęła dowodzenie USSS "Westmoreland", zachowywała ponury spokój na kościstej twarzy. Nie przyłączyła się do żadnej z grup dyskusantów. Stała w samym rogu ekranu, w milczeniu obserwując odległą stację bojową.

- Admirał na pokładzie! - Rozbrzmiał głośny, dobitny głos nowego adiutanta głównodowodzącego floty. Wszedł przez wąskie drzwi i wyprostował się, salutując. Zebrani odpowiedzieli mu jak jeden mąż, unosząc dłonie do czapek. Dopiero teraz dostrzegli szczupłą sylwetkę admirała Harrivana, idącego z kamienną twarzą zaraz za adiutantem. W sali zapadła cisza. Ekran ścienny zamigotał i zgasł na moment. Boczne panele świetlne natychmiast zareagowały, rozjaśniając bladą poświatą zapadające ciemności.

Na ekranie ukazało się godło floty. Na tym tle stanął admirał. Zmierzył zebranych wzrokiem. Stał w jego oczach i zaciśnięte usta sprawiały, że uśmiechy znikły z twarzy oficerów. Zapanowała całkowita cisza. Głos admirała zabrzmiał w niej ostro, wręcz oschle.

- Kapitanowie!. Flota stanęła u progu zniszczenia... - To krótkie zdanie spowodowało całkowitą dezorientację wśród zebranych. Chwilę po triumfie, gdy powalili potężnego "Mao", zdeptali chińskie siły na powierzchni Rigil Prime, architekt tych sukcesów wieszczy im zagładę?. Ten i ów zaczęli już podejrzewać nadmiar szkockiej we krwi admirała, choć żaden nie powiedział tego głośno. Głównodowodzący stał z nieprzeniknioną miną, starając się wyłapać wszelkie objawy załamania, czy zwątpienia. Ku swojemu zadowoleniu, widział zaskoczone i zdumione miny, ale żadnych oznak paniki. Jedynie komandor Sereda pozostała milcząca, jak wcześniej. Admirał wskazał dłonią na adiutanta. Wysoki, ostrzyżony na jeża brunet natychmiast zaczął referować.

- Wczoraj, około godziny osiemnastej czasu pokładowego, jedna z sekcji piechoty zmechanizowanej rozpoznała i zniszczyła chiński konwój wojskowy na powierzchni Rigil Prime – ekran za plecami Harrivana zamigotał i pojawiła się na nim trójwymiarowa mapa wycinka obszaru, na którym zespół Gverta stoczył zaciętą walkę.

- Skoro zniszczony, to gdzie tu zagrożenie dla floty? - Odezwał się nieostrożnie dowódca "Deversa", rozochocony poprzednią rozmową. Dostrzegłszy wzrok admirała, natychmiast umilkł, niczym rekrut na pierwszym obozie wojskowym. Twarz tłustego mężczyzny powoli się zaczerwieniła.

- Nasi ludzie zdołali pojmać pięciu oficerów... – Adiutant zignorował uwagę kapitana i mówił dalej.

- ... I tylko dzięki zbiegowi okoliczności, znaleźliśmy przy jednym z nich kartę pamięci - na ekranie pojawiła się standardowa, krystaliczna kostka holograficzna do przechowywania dużych ilości danych.

- I oto, co na niej było... - Dopowiedział adiutant i zamilkł. Kapitanowie zamarli, nie spodziewając się widoku Szanghaju, uchwyconego z lotu ptaka. Sam widok miasta liczącego niemal miliard mieszkańców zapierał dech w piersiach. Ogromne wieżowce, gigantyczne mosty tworzące skomplikowaną pajęczynę

połączeń, wreszcie setki poruszających się we wszystkich kierunkach pojazdów. Ogromny, tętniący życiem organizm, cywilizacja, którą pozostawili za sobą.

- Nie widzę zagrożenia – skrzypiący głos Seredy rozbrzmiał cicho, burząc nostalgię za Ziemią, unoszącą się nad zebranymi. Jej krótka uwaga sprowadziła wszystkich z powrotem, na orbitę Rigil Prime, na pokład flagowego lotniskowca drugiej floty.

Obraz na ekranie zatrzymał się. Admirał postąpił krok naprzód. Fakt, że to on przejął referowanie tematu, zaświadczył dobitnie o powadze sytuacji.

- Spójrzcie na datę – w rogu wyraźnie widniały chińskie oznaczenia, nie do odcyfrowania dla zebranych. Powyżej pojawiła się translacja na cyfry arabskie "2118/01/08". Chwilę trawili w milczeniu otrzymaną informację, choć nie mieściła im się w głowach. Data filmu sprzed pół roku - zdjęcia Ziemi odległej o ponad cztery lata świetlne. Każdy z kapitanów był fachowcem w dziedzinie lotów głębokiej przestrzeni kosmicznej.

- Zakładam, że nie jest to fałszerstwo – zaczęła ostrożnie komandor Sereida, patrząc na Harrivana. Ten skinął potakująco głową. Adiutant, opacznie zrozumiał ten gest i dodał od siebie.

- Zapewniam państwa, przesłuchaliśmy całą piątkę za pomocą Hagraxu... - Przerwał, widząc piorunujący wzrok admirała. Było już za późno, piekielna nazwa została wypowiedziana. Zszokowane spojrzenia oficerów mówiły aż nadto o ich opinii na temat najnowszej wiadomości. Harrivan po raz pierwszy okazał jakiegokolwiek uczucia. Złość na chwilę wykrzywiła jego twarz.

- Porucznik Laventof przekroczył znacząco swoje uprawnienia... - Rzucił z nietajoną pasją, wpatrując się w młodego adiutanta, jak gdyby chciał go zabić wzrokiem. Poprzednik porucznika pracował w którymś hangarze, gdy nie wytrzymał nerwowo bitwy z "Mao". Wyglądało na to, że lada chwila, posada adiutanta znów będzie pustym wakatem.

- Rozumiem, że zniszczenie ich jaźni i umysłów dało jakiś rezultat...? - Zaczął podniesionym głosem kapitan "Deversa". Zamierzał wykorzystać swoje pięć minut, perorując głośno i gestykulując owłosionymi dłońmi.

- Niechże się pan wreszcie zamknie, kapitanie Poulson – warknął admirał, przerywając mężczyźnie w pół słowa. Nim ten nabrał oddechu, by kontynuować tyradę, Harrivan podniósł dłoń, zamykając mu tym gestem usta.

- Rozkazy wydane mi przez prezydenta, dopuszczają użycie wszelkich środków, by zabezpieczyć interesy Federacji Ameryki Północnej w obszarze Alfa Centauri – słowa te, wypowiedziane władczym tonem, zrobiły wrażenie na zebranych.

- Dotyczą też środków, zakazanych konwencjami międzynarodowymi? - Gasnący głos Poulsona był wołaniem na puszczy. Nikt go nie poparł. Nawet admirał, nie zaszczycał go spojrzeniem, skinął głową.

- Rzecz nie idzie o użycie Hagraxu, panie i panowie. Sprawa idzie o przetrwanie naszego narodu. Spośród tej piątki, trójka zeznała, że są w układzie Alfa Centauri od trzech miesięcy. Lot tutaj zajął im drugie tyle... . - Dopiero ta wiadomość замуrowała wszystkich. Zapadła całkowita cisza, przerywana przyspieszonymi oddechami. Jak gdyby Hagrax został rozpylony nad ich głowami. Sięgał po wewnętrzne jestestwo każdego z nich. Rozrywał, by zniszczyć wszystko to, czym się stali przez lata swojego życia... .

- Niemożliwe – niespodziewanie dla siebie, odezwała się komandor Sereda. Jej głos chrypiał bardziej, niż kiedykolwiek. Jako jedyna była w stanie przywołać jakieś rzeczowe argumenty.

- To musi być ich operacja wywiadowcza, by nas zdezorientować. Aby napęd Roehma pozwolił na pokonanie takiej odległości w tym czasie, musiałyby dysponować nieskończoną ilością mocy reaktora... - Podniosła głowę i z nagłą energią wskazała palcem na sylwetkę admirała - ... Poza tym, Chińczycy nie dysponują naszą technologią...

- Oczywiście, że nie – podchwycił Harrivan, spoglądając po kolei na swoich kapitanów – nie potrzebują tego napędu. Zgodnie z zeznaniami całej piątki, dysponują urządzeniem do zaginania czasoprzestrzeni... .

*

Gwałtowna dyskusja, tocząca się w sali konferencyjnej "Eisenhowera", momentami przypominała prawdziwą bitwę na argumenty. Oficerowie przekrzykiwali się. Niewielka część uznała od razu słowa admirała za prawdziwe. Pozostali próbowali udowodnić, że stworzenie przejścia jest fizycznie niemożliwe, a zeznania wyciśnięte z chińskich oficerów za narkotyczne urojenia. Potwierdzenie słów jeńców nie było możliwe. Żaden z nich nie przetrwał badania w stopniu, pozwalającym na najprostszą wymianę zdań. Harrivan stał tyłem do ekranu, w milczeniu obserwując gwałtowną reakcję swojego korpusu oficerskiego. Zamierzał gwałtownie uciąć dyskusję, ale przypomniał sobie własną reakcję, niespełna dwanaście godzin temu. Ostre rysy twarzy nieco złagodniały. Jego podwładni nie mieli tyle czasu co on, by się oswoić z tak fantastyczną wiadomością.

- Panie, panowie – dopiero, gdy powtórzył, podnosząc głos o kilkadziesiąt decybeli, sala poczęła cichnąć. Harrivan westchnął cicho, bacząc by nikt tego nie dostrzegł. Zwłaszcza kapitan "Deversa", który z pewnością przebiegał nogami, by rozpocząć jałową dysputę. Na to nie mieli czasu.

- Implikację faktu posiadania takiej technologii przez Chiny są chyba jasne – powiedział spokojnie admirał – fakt, że mogą informować metropolię, niemal w czasie rzeczywistym, o zachodzących tu wydarzeniach, daje im ogromną przewagę. Mogą przygotować atak w Układzie Słonecznym i uderzyć z zaskoczenia, zanim nasza informację w ogóle dotrą do Ziemi – odpowiedziały mu potakujące kiwnięcia i ciche słowa poparcia. Mówił do zawodowców.

- Zniszczą też naszą flotę. W ciągu kilku miesięcy zbudują przewagę liczebną... – Głos komandor Sereidy nie zdrzął ani przez moment. Niczym kapłanka Pytia z Delf, wieszczyła nadchodzącą zagładę. Nikt jej nie przerywał, więc dokończyła dobitnie.

- ... a potem zaatakują nas tutaj. Nasze przewaga technologiczna na nic się nie zda, gdy na jeden nasz lotniskowiec przypadną trzy chińskie... - Głośny sygnał alarmowy przerwał pani komandor w pół słowa. Harrivan natychmiast przycisnął miniaturowy komunikator, umieszczony tuż przy kołnierzu.

- Operacyjny, co tam się dzieje? - Zapytał spokojnie admirał. Adiutant ściszył ogłuszający ryk syreny. Zaniepokojeni kapitanowie biegiem opuszczali salę, kierując się na pokład startowy.

- W sektorze Delta dziesięć namierziliśmy trzy ciężkie pojazdy. Stracili parę rozpoznawczą z "Spaata". Dywizjony alarmowe właśnie startują – komandor Genth zachował kamienny spokój. Za wszelką cenę chciał się zrehabilitować za błędy, jakie popełnił, gdy przybyli na orbitę Rigil Prime. Piekielnie ambitny chudzielec miał wszelkie szanse, by z powrotem znaleźć się w kręgu admirałskich "obiecujących oficerów".

- Bardzo dobrze... - Pochwalił Harrivan, wychodząc z pustej sali konferencyjnej. Nie śpiesząc się, skierował swe kroki do przedziału operacyjnego, skąd zarządzano manewrami całej floty. Nie zwracał zbytniej uwagi na pośpieszny ruch wokół, choć jego czujne oko wyłapało drobny, ledwie uchwytny szczegół. Przebiegający wokół ludzi nie mieli przestraszonych twarzy. Cechowali się pewnym spokojem, charakteryzującym weteranów. Zaciekle bitwa z toroidem i ciężki chrzest bojowy sprawiły, że załogi drugiej floty nabrały wiary w siebie. Było to widać zarówno na korytarzach, jak i wśród sztabu głównodowodzącego floty.

- Admirał na pokładzie! - Usłyszał, wchodząc do sali dowodzenia. Większość przystanęła na chwilę, salutując, po czym wracali natychmiast do swoich obowiązków.

- "Spaatz", "Westmoreland", dowódcy na pokładzie, zgłaszają gotowość do akcji... - Usłyszał Harrivan, podchodząc do trójwymiarowej mapy taktycznej. Jednostki floty, niczym sfera wilków, ruszyły z miejsca, bezbłędnie ustawiając się w przewidzianych dla siebie miejscach szyku.

- Mamy potwierdzenie prędkości obiektów! - Krzyknął jeden z operatorów – połowa czwartej prędkości kosmicznej. Niemal dwieście kilometrów na sekundę!. - Admirał spojrział na mówiącego, unosząc w górę krzaczaste brwi. Ten gest zastępował u Harrivana okrzyki zdumienia i niedowierzania.

- Rozkaz do floty, przesunąć się na orbitę geostacjonarną tak, by utrzymać planetę między sobą, a przeciwnikiem – cicho zadysponował głównodowodzący. Chwilę patrzył na odwzorowanie obcych okrętów na bocznym ekranie operatorskim.

- Wystawić pary obserwacyjne na orbitach biegunowych. Wykonać natychmiast! - Harrivan powiedział to głośniejszym głosem, przechodząc do rzędu klasycznych konsol.

- Nie mamy tych okrętów w bazie danych, szefie – mruknął operator, dostrzegając za swoimi plecami głównodowodzącego. Admirał pokiwał głową, dotykając szerokiego ramienia podoficera kośćciami palcami.

- Domyślam się, synu. I to właśnie mnie martwi... - Wydawało się, że admirał nie zwraca uwagi na wykonanie wydanych przez siebie rozkazów. Kolejne okręty floty zniknęły za widnokretem, trzymając się niskiej orbity. Chronili się w ten sposób przed niespodziewanym atakiem raketowym. Przy takiej prędkości zbliżeniowej, flota nie posiadała żadnych technicznych szans obrony, przed jakimkolwiek uderzeniem ze strony nadlatującego przeciwnika. Ten musiał przemknąć w pobliżu planety, odslaniając się na ciosy w momencie, gdy zacznie się oddalać. Klasyczny przypadek, gdy zawiodło zaskoczenie, na które zapewne liczył przeciwnik. Mimo to, ten nagły atak niepokoił admirała. Wszystko wydawało się zbyt proste, zbyt przejrzyste. Oczywiście mógł się

mylić, a akcja Chińczyków mogła wynikać z ich desperacji. Jednak jakoś nie przemawiało to do niego. Harrivan walczył sam ze sobą, a że był uparty, nie zanosilo się na szybkie zwycięstwo którejkolwiek z opcji.

- Panie admirale, przepraszam, że przeszkadzam... - Głos adiutanta, oderwał głównodowodzącego od własnych myśli. Niezbyt przytomnym jeszcze wzrokiem spojrzął pytająco na młodego oficera. Ten wskazał szeroką dłonią na mapę taktyczną.

- ...Rozdzielają się... - Istotnie, odczyt wyraźnie wskazywał, że idące w ciasnym szyku okręty Państwa Środka zwiększały odległości między sobą.

- To ma sens – wyrwał się Genthó, stojący po przeciwnej stronie. Bójąc się, że ktoś go ubiegnie zaczął pośpiesznie.

- Zaatakują salwą rakiet, przelecą po obu stronach Rigil Prime, by zmaksymalizować szanse trafienia, po czym uciekną w przestrzeń... - Spora część obsady wydawała się zgadzać z komandorem. Istotnie, wyglądało na to, że wróg realizuje właśnie taki plan. Dziesięć minut później, skanery dalekiego zasięgu zarejestrowały kilkadziesiąt mniejszych obiektów. Poruszały się znacznie szybciej, gwałtownie zwiększając dystans do okrętów macierzystych. Genthó triumfował. Spojrzął na admirała, oczekując rozkazów. Oto wracał w wielkim stylu, na należne mu miejsce w obsadzie oficerskiej.

- Tak, prawdopodobnie ma pan rację, kolego – w zamyśleniu mruknął admirał, wchodząc w obręb mapy. Raz po raz sprawdzał odczyty dotyczące poszczególnych obiektów. Ich prędkość oszałamiała wręcz wartością. Ponad dwieście trzydzieści kilometrów na sekundę!

- Mam rozpoznanie! - Operator krzyknął z satysfakcją. Nie czekając na polecenie, przełączył wyniki na ekran główny. Wszyscy natychmiast rozpoznali trójwymiarowy wizerunek podłużnego, szarego kadłuba rakiety - CSS- 48 Bingbao.

Najlepszy chiński pocisk manewrujący do zwalczania ciężkich okrętów kosmicznych.

- Wytoczyli ciężką artylerię – skomentował Genthó, nie spuszcżając wzroku z gównodowodzącego. Ten potrzásnął główą i powoli wyszedł poza obręb hologramu.

- Przewidywany czas dotarcia na orbitę Rigil Prime, czternaście godzin, trzynaście minut – zabrzmiało obwieszczenie oficera operacyjnego. Niecała połowa doby. Potem wokół planety rozpęta się piekło. Każdy z pocisków niósł cztery dwudziestomegatonowe głóvice, z własnym napędem, uruchamianym w ostatniej fazie lotu. Kilka pozorowanych obiektów, zakłócających działanie systemów przeciwrakietowych, inteligentny system sterujący. Zebrani przywoływali te dane z pamięci. Niepokój pojawił się na twarzach części oficerów.

- Hmm, ale Bingbao mamy tylko na flankach – Harrivan podrapał się po gładko ogolonej brodzie. Cały czas czuł, że coś mu umyka.

- Uderzają bezpośrednio od strony przejścia do Układu Słonecznego – domyślnie odpowiedział Genthó.

- Oczywiście, jeżeli istnieje – rzucił, stając w ten sposób pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami teorii zaginania czasoprzestrzeni przez Chińczyków.

Podparty pewnością siebie, czuł się na siłach podjąć dyskurs z gównodowodzącym. Postąpił krok naprzód, stając dokładnie pośrodku wyświetlanej mapy. Szczupłą dłonią wskazał na falangę drobnych obiektów, pędzących przed okrętami przeciwnika.

- To z pewnością są drony bojowe. Mają oczyścić orbitę dla idącej z tyłu floty. Pociski mają zdezorganizować obronę, roboty, dokończyć dzieła. Gdybyśmy ich nie namierzyli, żółci wykonaliby hamowanie po to tylko, by posprzątać resztki... - Widząc, że admirał nie przerywa jego wywodów, ciągnął dalej, dumny jak paw.

- Proponuję strategię defensywną. Rozmieścimy kilkanaście atomowych min zbliżeniowych na orbicie biegunowej. Przy tej prędkości CSS-48, by nam zagrozić, będą musiały iść nie dalej, niż tysiąc kilometrów od powierzchni Rigil Prime. Nasze M-trzysta dadzą im radę bez problemu. Drony zdeorganizuje impuls EMP. To co zostanie, zniszczymy jednym dywizjonem myśliwców.

- Zapominasz synu, o celu głównym – admirał przybrał profesorski ton, zaplatając dłonie na plecach. Jego mina wyraźnie wskazywała, że albo Genthó poda rozsądny plan działania, albo jego ostatnia szansa rozplynie się jak sen, a miejsce dowódcy osłony myśliwskiej zajmie inny, rzutki oficer.

- Tu proponowałbym rozwiązanie klasyczne. Korzystając z zamieszania na orbicie, uderzymy salwą pocisków samosterujących "Sabre". Chińczycy idą tak szybko, że wystarczy jedno trafienie. Jeśli któryś z nich przetrwa, "Devers", jako najszybszy w naszym zespole, ruszy w pościg i dobije zwierza – zakończył z emfazą komandor. Prosty, skuteczny plan, przemawiający do wyobraźni. Nawet Harrivan kiwał potakująco głową, zgadzając się z Genthó. Ten zamilkł i wciąż patrzył na głównodowodzącego.

-, Na co pan czeka komandorze? - Zapytał zdziwiony admirał – niech pan wyda rozkazy! - Z ukrywanym uśmiechem obserwował, jak Genthó z werwą zarzuca operatorów poleceniami. Istotnie, sam zastanawiał się nad podobnym rozwiązaniem. Postanowił jednak dać komandorowi wolną rękę. Ostatecznie, skoro służył teraz w zespole taktycznym, to miał szansę się wykazać. Wyglądało na to, że w lot pochwycił tę możliwość.

- "George Washington" melduje, że znajdują się w cieniu Rigil Prime za cztery godziny... - Przed obliczem Harrivana stanął błądy adiutant, składając meldunek drżącym głosem. Wydawał się być bardzo przejęty tym faktem. Ku jego zdumieniu, admirał zareagował spokojnie. Aż za bardzo.

- Oczywiście, potwierdzić – wydawał się oderwany od rzeczywistości, wciąż pochłonięty swoimi myślami. Odprawił adiutanta ruchem dłoni, nadal spoglądając na mapę taktyczną. Jakiś szczegół, niuans, nie dawał mu spokoju. Nie potrafił odkryć, który...

*

Szesnaście myśliwców przewagi kosmicznej przesuwało się powoli, tuż ponad granicą atmosfery Rigil Prime. Świecące w oddali Alfa Centauri B nie potrafiło wykrzesać z nich nawet jednego refleksu świetlnego. Maszyna znajdująca się dokładnie w centrum szyku, uniosła dziób lekko w górę. Pilotująca go kapitan Eileen Rozmowsky z pewnym rozmarzeniem spojrzała wprost w odległą, gorejącą gwiazdę. Osłona kokpitu automatycznie dostosowała się do zwiększonego promieniowania świetlnego, przyciemniając przednią powierzchnię. Dzięki temu, dało się dostrzec kilka największych plam słonecznych. Doszła do wniosku, że byłoby to piękne miejsce na hotel. Śnieżna panorama powierzchni Rigil Prime, oświetlana pomarańczowym blaskiem Alfa Centauri, była widokiem, za który wielu mogłoby zapłacić.

- Czwórka Westmoreland – słysząc wezwanie, natychmiast oderwała wzrok od otaczającego ją widoku.

- Czwórka Alfa zgłasza się – rzuciła spokojnie, kontrolując natychmiast stan wszystkich maszyn. Od trzech godzin wisieli tak w przestrzeni. Już sądziła, że zostali pozostawieni sami sobie...

- Kierunek sektor czterdzieści osiem Ce. Otrzymałcie sygnał do szarży. Cel główny, drony bojowe – Rozmowsky zmarszczyła brwi. Nie potrafiła przyzwyczaić się do oschłego, oficjalnego tonu komandor Sereidy, mimo tego, że została skierowana na "Westmorelanda" już miesiąc temu. Poprawiła kosmyk dłuższych włosów, który wysunął się spod osłony hełmu i pływał sobie swobodnie, przesyłając obraz z soczewki kontaktowej.

- Potwierdzam – mruknęła chłodno, nie siląc się na uprzejmości. Przekazała informację łączem qbit. Cały zespół, niczym grupa tancerzy, obrócił się w stronę północnego bieguna planety.

"Oto, co mi przyszło" – pomyślała pogardliwie, dodając nieco mocy. Dywizjon powoli przemieszczał się wzdłuż powierzchni planety, zostawiając daleko za sobą macierzysty okręt.

"As będzie zajmowała się orbitalną utylizacją robotów" – podobnie jak większość młodszych pilotów, Eileen pogardliwie odnosiła się do dronów, używanych w kosmosie. Mimo swego zaawansowania, przy myśliwcach sterowanych przez człowieka, były jak żółw przewrócony na plecy. Zdane na automatyczne obwody sterujące, póki co, nie były w stanie nawiązać równorzędnej walki z istotą myślącą.

Rozmowsky wyduła kształtne usta z pogardą, widząc sygnał nadchodzących informacji taktycznych. Aż zamrugła oczami, gdy przestrzeń przed nią, za pośrednictwem soczewki kontaktowej, wypełniła się oznaczeniami pojazdów wroga, punktów nawigacyjnych i danymi uzbrojenia. Gdzieś daleko nad sobą dostrzegła cienie dwóch maszyn rozpoznawczych. Doskonale wykonały swoją robotę. By uniknąć niepotrzebnego ryzyka, odchodziły teraz daleko w przestrzeń, by kontrolować przyszłe pole walki z bezpiecznej odległości.

- Wreszcie coś się dzieje! - Powiedziała sama do siebie z werwą. Uruchomiła systemy bojowe. Pozostałe myśliwce zgłaszały pełną gotowość. Podchodzili do północnego bieguna planety, niczym wilk czający się na swoją zdobycz. Mimo wszystko, poczuła narastającą adrenalinę.

Za tarczą planety pojawiły się cztery duże okręgi, liczące co najmniej tysiąc kilometrów, oznaczone przez komputer na czerwono. Każda z nich oznaczała nuklearny wybuch i pole twardej radiacji.

- Miny zareagowały – rzuciła w mikrofon łączności bezpośredniej Eileen – przygotować się do ataku... - Niemal równocześnie z jej

słowami, przed oczami Rozmowsky pojawił się rozkaz uderzenia na przeciwnika.

-Lecimy w szyku podwójnego diamentu – naładowany emocjami głos kobiety podziałął na podwładnych. Myśliwce błyskawicznie przyjęły szyk czterech małych rombów, tworzących razem jeden duży. Eileen wybrała jedno z nadlatujących zgrupować za cel. Oznaczyła je dla pozostałych. Myśliwce szarpnęły się naprzód, idąc na pełnej mocy potężnych silników termojądrowych. Rozmowsky wiedziała, że kluczem do zwycięstwa jest zaskoczenie przeciwnika. On nie wiedział o nich nic. Jej zespół myśliwski już namierzył cele, a jeszcze nie wyszli poza krzywiznę globu planety. Niczym głodna wataha wyskoczyli ponad horyzont. Eileen precyzyjnie wzięła na cel odległego drona i nacisnęła spust. Cztery impulsy laserowe zniszczyły go natychmiast. Reszta pilotów nie próżnowała. Ikony, oznaczające drony, znikwały jedne po drugim, jak na ćwiczeniach.

-, Co jest? - Zirytowany głos Jimmiego Locknara rozbrzmiał nagle w słuchawkach. Pokładowy złośliwiec, po katapultowaniu się i kilkunastu dniach koczowania na powierzchni Rigil Prime, miał przeświadczenie, że może pozwolić sobie na znacznie więcej niż inni.

- Już na treningach jest gorzej... - Ciągnął dalej, spodziewając się kilku cierpkich słów ze strony przełożonej. Zamilkł nagle, gdy przestrzeń przed nimi rozbłysła naraz czerwienią kilkuset tysięcy impulsów radarowych, oślepiających pilotów. Zdezorientowane systemy detekcyjne podały na soczewki kontaktowe nieprzejrzyistą, krwistą zasłonę. Zazwyczaj oznaczała ona radioaktywne pole śmierci dla maszyny i pilota. Tu jednak coś takiego nie mogło mieć miejsca, odczyty innych przyrządów nie potwierdzały wysokiego poziomu radioaktywności.

Poprzez słabnące tło, Eileen dostrzegła zarysy ciemnych, okrągłych obiektów, przemykających pod dywizjonem. Przeładowany system nie był w stanie zareagować, by oznaczyć potencjalne cele, ale na jasnym tle tarczy planety doskonale

widziała setki tych obiektów, przypominających odwrócone spodki. Płaskimi powierzchniami ustawiały się prostopadle do atmosfery.

- Atakować! - Rzuciła chrapliwie w mikrofon, nie dbając o to, że mówi na otwartym kanale.

- Zniszczcie, ile się da! - Zwróciła myśliwiec w dół, naciskając spust. Nie mając wsparcia systemów celowniczych, strzelała na ślepo. Rotacyjne działko laserowe nabierało obrotów, siejąc śmiercionośnymi impulsami. Działko Gaussa w maksymalnym tempie wysyłało kolejne trzpienie w rój przelatujących kapsułek. Reszta dywizjonu poszła śladem dowódcy, usiłując stworzyć zaporę ogniową. Chińskich pojazdów była jednak cała masa, a z mroku przestrzeni wciąż wyłaniały się nowe. Rozmowsky strzelała w zapamiętaniu. Dopiero sygnał o przegrzaniu działka laserowego oderwał ją na chwilę od walki.

- ... Czwórka Alfa, co tam się dzieje? Potwierdź... - Słyszając natarczywy głos operatora łączności z "Eisenhowera", otarła pot ze szczupłej twarzy i rzuciła z zaciętością w głosie.

- Tu nie ma żadnych robotów! Ci dranie robią desant!....

ROZDZIAŁ III DYLEMAT

Jękliwy sygnał alarmowy niósł się daleko korytarzem ósmej sekcji mieszkalnej. Panele świetlne rozjaśniły się do poziomu "dzień".

- Alarm dla całego korpusu. Powtarzam, alarm dla całego korpusu desantowego! - Stanowczy głos oficera operacyjnego przebijał się przez rosnący hałas. Na wąskich korytarzach zaczęły pojawiać się zdezorientowane postaci, dopinające oporządzenie, a co poniektórzy wdziewający części garderoby. Jak jeden mąż, kierowali się w stronę przepastnych ładowni "Eisenhowera", dokąd prowadziły ich czerwone, pulsujące linie, oznaczające alarm bojowy. Wbiegali przez szerokie wrota wprost na główną płytę, gęsto zastawioną dziesiątkami maszyn bojowych. Wśród tego tłumu biegł również porucznik Lovat. Ostatnie walki na powierzchni odcisnęły na nim swoje piętno. Parł jednak naprzód, z zaciętą, pozbawioną emocji twarzą. Szybko przemknął koło ośmiu ciężkich M.A.V.E, których silniki budziły się do życia. Do niedawna fascynowały go ich możliwości bojowe. Teraz, obojętnie minął je, chociaż zawsze marzył by poprowadzić wersję GM-22B Lee. Przecisnął się wąską szczeliną pomiędzy kontenerami i stanął przed szeregiem czterech "Hellhoundów", ostatnich, w pełni sprawnych maszyn piątej kompanii, przekształconej w samodzielny pluton zwiadowczy. Piloci siedzieli już w kokpitach. Kątem oka dostrzegł jak salutują. Podbiegł do swojej maszyny. Wyuczone wcześniej odruchy wzięły górę nad pośpiechem. Zlustrował sylwetkę M.A.V.E, dostrzegając zaspawane dziury i dodatkowe łąty pancerza. Choć naprawa wyglądała topornie, została wykonana fachowo. Porucznik, nie czekając dłużej, wspiął się po nodze maszyny. Zwinnie wsunął się do kokpitu. Natychmiast włączył się trójwymiarowy panel sterujący.

- Pluton rozpoznawczy, działacie na rzecz drugiej kompanii szturmowej – suchy głos oficera taktycznego rozległ się tuż koło

głowy Lovata. Ten zajęty przypinaniem się do fotela, mruknął półgębkiem.

- Taa, będziemy do dyspozycji, jak zwykle... - Zgłosił gotowość oddziału. W całej hali rozbrzmiewał pomruk uruchomionych silników. Nigdy dotąd coś podobnego się nie zdarzyło. Do lądowania szykowały się trzy bataliony M.A.V.E. W bój szły wszystkie, nawet świeżo wyremontowane pojazdy.

- Żołnierze! - W kokpitach maszyn bojowych rozbrzmiał stalowy głos admirała Harrivana – Przeciwnik dokonał niespodziewanego desantu na powierzchnię Rigil Prime, w okolicach Price Town. Nasza placówka w tamtym rejonie została prawdopodobnie zniszczona. Wróg posiada kilkanaście wyrzutni klasy ziemia-kosmos, co uniemożliwia bombardowanie orbitalne. Waszym celem będzie ich zniszczenie. Przed zrzutem otrzymacie wszystkie dostępne dane. Dowództwo nad operacją przejmuje pułkownik Robert Gawor. Życzę wam powodzenia! - Słyszając ostatnie słowa, Lovat uśmiechnął się pogardliwie. Cały podziw, jaki żywił do admirała, ulotnił się dawno temu. Machinalnie włączył sygnał podporządkowania dla dowódcy drugiej kompanii. Natychmiast nastąpił odzew. Na osłonie kokpitu pojawiła się komenda "Zrzut". Karnie ustawił swoich ludzi w szeregu. Żaden z nich się nie odezwał. Nawet Stein, mający zawsze coś do powiedzenia, teraz milczał jak zaklęty. Było coś złowieszczonego w tych dziesiątkach maszyn, kroczących ociężale ku katapultom zrzutowym. Trójwymiarowe ekrany zaczęły puchnąć dziesiątkami przesyłanych informacji. Lovat aż syknął, widząc kilkadziesiąt zarejestrowanych pojazdów pancernych. To był kontyngent tylko z jednego lądownika. Na mapie widniało ich co najmniej dwadzieścia, rozrzuconych nieregularnie wokół częściowo odbudowanej Price Town.

- Cholerny gnojek – mruczał pod nosem Lovat, ustawiając maszynę w kokonie zrzutowym – „wyrzutnie – srutnie. Boi się o swoje wymuskane krążowniki, więc posyła nas na śmierć...” - System zasygnalizował pełną blokadę. Zamknął na chwilę oczy,

próbując uspokoić oddech. Nagle usłyszał wysoki głos mężczyzny, bezskutecznie usiłującego nadać swej wypowiedzi ton nieznoszący sprzeciwu.

- Kapitan Roger Havis do plutonu rozpoznawczego. Skaczecie przed nami, więc oczekuję zabezpieczenia perymetru. Moje Lee mają wylądować bez problemu! Czy to jest jasne? - Słyszac tę tyradę, Lovat aż stęknął. Nie chcąc wdawać się w pyskówkę, potwierdził odebranie przekazu za pomocą systemu taktycznego. Przypomniał sobie to nazwisko. Skrzywił się na wspomnienie młodego, zadufanego w sobie bubka, o władniętego manią wielkości. Pamiętał, jak ze Steinem zastanawiali się, kto mógł go posłać do szkoły oficerskiej. Stało na bogatym tatuśku.

- Stukać w ekran to mi będziesz na powierzchni ! – Nie dawał za wygraną rozjuszony jawnym ignorowaniem Havis – teraz żądam regulaminowych meldunków! - Nieudolna próba wymuszenia posłuszeństwa sprawiła, że Lovat przypomniał sobie samego siebie sprzed kilku miesięcy.

- Naprawdę, synu? - Przybrał swój słynny, nonszalancko-szyderczy ton – więc melduję ci, że moi chłopcy są gotowi do skoku bardziej, niż ty do wymiany zaszc...nej pieluchy. Czy takie potwierdzenie ci wystarczy, czy pobiegiesz z płaczem do admirała? Wysmarkasz mu się w rękaw, że odbierasz „nieregulaminowe” meldunki?

Na kanale zapadła całkowita cisza, przzerwana po chwili rechotem Steina, który beczelnie, na głównym mruknął.

- Dobrze powiedziane szefie, naprawdę...

Chwilę później, elektromagnetyczna katapulta wysłała ich w stronę powierzchni Rigil Prime...

*

Na admirałskim stanowisku dowodzenia wrzało jak w ulu. Oficerowie przekrzykiwali się nawzajem. Meldunki przychodzące od operatorów krzyżowały się, niknąc w szumie gwałtownych

dyskusji. Trójwymiarowa mapa taktyczna drżała, tracąc gdzieś rozdzielną, przytłoczona nadmiarem szczegółów. Chaos opanował cały przedział.

Jedynie wysoka, szczupła sylwetka admirała stała nieruchomo niczym posąg. Harrivan delikatnie stuknął palcem w brodę. Mrużył coraz bardziej wzrok, jakby starał się uchwycić prawidłowość w zawiłej układance taktycznej, rozwijającej się na orbicie Rigil Prime. Postąpił krok naprzód, uruchamiając jeden z wewnętrznych sygnałów alarmowych. Przenikliwy pisk zalał całe pomieszczenie i ucichł. Wraz z nim zamilkli wszyscy – oficerowie i obsada operatorska.

- Skoro skończyliście panowie pogaduszki, chciałbym JA... – Na ostatnim słowie położył wyraźny nacisk - ... Coś powiedzieć. - Nikt, nie odpowiedział. Łącznie z komandorem Genthó, który nie wiedział, gdzie ma się podziać. Mina młodego oficera wyraźnie wskazywała na to, że wini się za zaistniały stan rzeczy. Nie potrafił zwalczyć tego uczucia i jego działanie sprowadzało się do szeptania pod nosem. Harrivan potrząsnął głową i rzucił głośno, tak by go usłyszeli wszyscy zebrani.

- Przeciwnik wykonał doskonały manewr. Mamy do czynienia z desantem na powierzchnię oraz atakiem orbitalnym. Komandor Weisengerber, jest pan łącznikiem z pułkownikiem Gaworem? - Wezwany, machinalnie skinął głową.

- W takim razie, za dwie minuty, chcę mieć szczegółowy raport dotyczący sytuacji na powierzchni. Zespół taktyczny, przygotować strategię obrony floty przed uderzeniowymi okrętami przeciwnika... - Admirał stanął przed komandorem Genthó. Zmierzył go chłodnym wzrokiem i mruknął.

- Komandorze, pana szansa ucieknie, jeśli nie weźmie się pan w garść. Pańscy piloci walczą... - Zawiesił głos i odwrócił się przodem do mapy. Operatorzy zdołali się już uporać z większością zakłóceń. Obraz nabrał przejrzystości. Przez kilka chwil panowała cisza, po czym rozległ się głos komandora Genthó.

- Czwórka i ósemka z "Westmoreland" w walce bezpośredniej. "Devers" z własnej inicjatywy wypuścił piętnasty dywizjon. Wejście do akcji lada chwila – głos oficera drżał jeszcze, ale emanowała z niego rosnąca pewność siebie. Admirał uśmiechnął się pod nosem. Dobrze ocenił tego młodzika. Nagły atak Chińczyków, zniszczył jego butę, ale nie zdolność do działania.

- Dobrze – pochwalił oszczędnie – wesprzeć zespoły walczące na orbicie, sygnał do floty, przygotować się do ataku na chińskie okręty uderzeniowe!

Wokół amerykańskiej floty zaroilo się od maszyn myśliwskich i szturmowych. Szum w eterze ucichł. Zastąpiły go precyzyjnie wydawane rozkazy. Okręty natychmiast ustawiły się w pożądanym szyku. Harrivan na wszelki wypadek nakazał przyjąć szeroki, rozproszony układ przestrzenny, by zabezpieczyć się przed atakiem ciężką bronią kosmiczną. Po drugiej stronie planety trwała zacięta walka pomiędzy nielicznymi myśliwcami amerykańskiej federacji, a setkami chińskich dronów. W tamtą stronę ciągnęły kolejne eskadry, pracowicie wysyłane w przestrzeń przez wszystkie lotniskowce...

*

Zapraszam do lektury całości

Pozdrawiam serdecznie

Tomasz Biedrzycki

SPIS TREŚCI

Dziękuję za wspólną przygodę.

Zapraszam na swoją stronę i na karty innych moich powieści

[Incydent na Rigil Prime](#)

[Rigil Prime w ogniu, tom I](#)

[Operacja “Thor”](#)

[Toutatis znaczy Zagłada](#)

[Wyrzut Koronalny](#)

[Zerwane Kajdany](#)

[Krąg Śmierci](#)

[Saksy po polsku](#)

[Otchłań Ganimesesa](#)

[Ryft Misharu](#)

[Rodzinna wendeta](#)

oraz do bezpłatego działu

[Download](#)

www.tomaszbiedrzycki.pl

Jelenia Góra 2015